Rok VI. 8 Lipca 1934. Nr. 28

DZWONECZEK



WAKACJE.

Wakacje!... wa-ka cje...
Szkolne rekreacje...
Na bok żale, fochy, dąsy,
Hejże dzieci, dalej w pląsy!
Pofiglować,
Pozbytkować —
Na to każdy zuch...
Hejże dalej w koło...
Przecież zdrowy ruch.
Baraszkować,
Zatańcować —
Dzieciom to nie grzech.

Na wakacjach nam wesoło —
Zdrowy szczery śmiech.
Precz, precz dąsy...
Wszyscy w pląsy...
Wiwat ruch i śmiech!

Radosne śpiewy w kole...
Ogród dzwoni, gra nam pole...
Hej wycieczka w las!
Zanim książka wezwie nas,
Na zabawy mamy czas.

Póki nie woła
Nas jeszcze szkoła —
Wiwat swoboda!
Słońce, pogoda...
Hej, wakacje — wolny czas!

Dwanaście ksiąg grubych bez jednej literki.

Zwiedzałem świeżo dziwną szkołę, całkiem niepodobną do tych szkół i szkółek, jakie wy znacie, czytelnicy „Dzwoneczka“ i w której inaczej uczą, aniżeli się uczyli ci, co sobie do czytania trzymać mogą takie pisma, jak „Dzwon“. A jeszcze dziwniejszą od owej szkoły znalazłem w jej kancelarji księgę. Pięknie, starannie oprawna, zajmowała całą szeroką półkę, a składała się z dwunastu grubych tomów. Każdy tom był o wiele grubszy od ksiąg znanych nam z grubości, jak Biblja czy słowniki. I wyobraźcie sobie, co za zdumienie mnie ogarnęło, gdy pierwszą z brzegu księgę otwarłem i przewróciwszy mnóstwo jej kartek, nie znalazłem ani jednej literki, ani jednego znaczka drukarskiego, z tych jakie zazwyczaj zapełniają od góry do dołu stronice naszych książek.

A jednak były tam tysiączne litery i poskładane z nich wyrazy, zdania, wiersze, rozdziały, były słowa tak dobrze nam znajome, tylko że trzeba było umieć tę księgę czytać, by się przekonać o tem, co zawiera. Jakże tu czytać, kiedy zamiast liter widzimy na papierze same kropki, ale tak wypukłe, jakby kto główką szpilki porobił znaki. Gdy się uważnie temu przypatrzeć, widzi się, że mamy do czynienia z jakiemś umówionem abecadłem, w którem każda litera składa się właśnie z takich wypukłych punktów coraz to inaczej ułożonych. Przypomina to np. kostki do gry lub domino. A czyta się tu litery nie okiem, lecz palcami dotykając owych wypukłości i po układzie kropek rozpoznając, czyli, że czytelnik takiej księgi ma wzrok w końcach palców, dobrze w tym celu wyćwiczonych i odpowiednio wrażliwych, by przebierając niemi szybko, odcyfrowywał znaków szeregi, niby muzyk kropeczki nut okiem.

Domyślacie się jednak, że oka brak właśnie czytelnikowi tych ksiąg, dlatego tak grubych, że muszą dla jego palców pomieścić owe dla nas tajemnicze znaki, tyle zajmujące miejsca zamiast zwykłych czcionek. Tak jest, to księgi dla niewidomych, którzy czytają palcami, a grube tomy, jakie zastałem na półce honorowej w kancelarji uczelni dla ociemniałych, zawierały 12 ksiąg „Pana Tadeusza“. Dla nas poemat ten mieści się na kilkunastu arkuszach zwykłego druku, może więc kosztować kilkadziesiąt groszy i być łatwo drukowany w setkach tysięcy egzemplarzy, gdy dla ślepców jeden egzemplarz, z trudem zrobiony, musi kosztować tyle, co nas cała bibljoteka.

Ale pomyślmy sobie, jak strasznie byłby pokrzywdzony człowiek niewidomy, gdyby nie mógł znać z czytania tego największego arcydzieła polskiego piśmiennictwa, któremu równych prawie nie znajdzie w poezji innych narodów. Właśnie sto lat minęło od czasu, gdy Adam Mickiewicz napisał ten przepiękny poemat-powieść i drukiem po raz pierwszy ogłosił, więc ważną tę dla Polski rocznicę obchodzi się teraz uroczyście. Z tego też powodu tuż przed zamknięciem roku szkolnego uczniowie szkół krakowskich w pochodzie manifestacyjnym, zanieśli wieńce i kwiaty na Wawel na trumnę wielkiego Polaka i polskich poetów króla.

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

Nagle cały tłum, posuwający się pośpiesznym krokiem, przystanął. Zamieszanie wielkie widać było w tych nieprzeliczonych gromadach ludzi, z których jedni drugich nawoływać zaczęli, sami nie wiedząc, co się właściwie

stało. Ludomirowi i Dobrochnie dech zamarł w piersiach. Czyżby to hufce polskie doganiały najezdników? Jeszcze chwila, a zaszumią może proporce rycerzy, którzy runą na tę dzicz, jak wicher, druzgocąc i łamiąc wszystko, co tylko popadnie pod ich miecz zwycięski, czy pod kopyta rozhukanych koni.

— Boże, Boże — jęczało w duszach pojmanych brańców — czy to Ty zsyłasz może Anioła-Mściciela, który za nasze krzywdy, za łzy, za krew niewinnie przelaną, ognistemi piorunami wybije tych dzikich pohańców.

Nadzieja radosna i trwożna zarazem napełniła serca biednych niewolników. Lecz chwile mijały jedna po drugiej, a nie było słychać zdala ani tętentu pędzących na pomoc rycerzy ni trzasku Bożych piorunów.

Dzieciom aż oczy na wierzch wyszły od natężonego wypatrywania, gdy naraz ujrzały kilkunastu najtęższych mężczyzn, którzy ze wszystkich sił starali się dopomóc koniom do ruszenia z miejsca jakiegoś wozu. Leżała na nim wielka skrzynia podobna do tych, jakie dzieci widywały w chatach sąsiadów w rodzinnej wiosce. Konie dobywały z siebie ostatnich sił, wyprężając się jak struny, by choć trochę ruszyć z ciężarem. Świstały w powietrzu rzemienne bicze, sypały się z ust Litwinów pogańskie przekleństwa, ale wszystko daremnie. Wtedy przybliżyli się do wozu starcy o długich, siwych włosach i poczęli czynić różne czary dokoła dziwnego miejsca. Mruczeli tajemne zaklęcia, wymachiwali w powietrzu rękami, spalali zwitki przędzy, jaką nosili za pazuchą, wreszcie wyrwawszy z końskich ogonów kilka najdłuższych włosów, zawiązali na nich supły i zakopawszy je w ziemi poza wozem, kazali nanowo popędzić konie. Zwierzęta porwały się naprzód, rozkopując kopytami ziemię i już zdawało się, że wóz ruszy z miejsca. Ale i teraz próżne były wysiłki. W jednej chwili popękały uprzęże, a konie jakby pod tajemnym nakazem, padły na kolana.

Rzucono z rąk baty i poczęto naprawiać potargane powrozy. Tłum ludzi coraz bardziej się powiększał, a każdy radził co innego, zwalając winę na złą drogę i leniwe konie. Przyprowadzono wkońcu dwie pary ogromnych wołów i przysposobiwszy wóz odpowiednio, nałożono im na głowy jarzma.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Świat jest tak piękny...

**Kto mówi, że bieda i złość jest na świecie,
Kto mówi, że smutek tam kroczy,
Ten pola nie widział w promiennych dni lecie,
Ten pewnie zamglone ma oczy...**

**Kto mówi, że niema dobroci i słońca,
Że wkoło noc ciemna i głucha,
Ten księgi przyrody nie czytał do końca,
Muzyki wieczoru nie słucha...**

**Kto mówi, że człowiek ma serce z kamienia,
Że litość umarła z wieczora,
Ten pewnie popatrzył w głąb swego sumienia
I ujrzał w swej duszy potwora.**

**Bo świat jest tak piękny, blask słońca go złoci,
Okrywa go fala światłości —
I pełno na ziemi jest ludzkiej dobroci,
Pod tchnieniem najwyższej Miłości.**

Pszczółka.

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

Mam wielką sympatję do tych papużek, ponieważ pierwszy ptaszek, jakiego samodzielnie wypchałem w tych dniach, był to właśnie zielony Piotruś, przezemnie upolowany. Wczoraj zrobiłem skrzyneczkę, do której to pierwsze swoje dzieło w charakterze konserwatora ptaków, zapakowałem, a dziś ją zabrali owi ludzie, których spotkaliśmy nad kopcami termitów. Jeden z nich podjął się za nagrodą pieniężną wysłać z miasta, do którego za parę dni przybędzie, paczkę przez pocztę do Buenos-Aires, pod adresem mojej matki. W dzióbku Piotrusia znajduje się karteczka, na której napisałem: „Ukochanej Halince stęskniony brat posyła swoją pierwszą robotę". Ach, co tam będzie za radość! Oby tylko doszła szczęśliwie posyłka do rąk mojej siostrzyczki. Pan Stefan powiada, że niema obawy, by ci obcy nam ludzie mieli się złakomić na zawartość paczki i przywłaszczyć sobie ją, zamiast oddać na pocztę, ponieważ sami mieli poddostatkiem równie pięknych a żywych okazów tego samego gatunku ptaka.

W gromadce tych Ekwadorczyków było też paru strzelców, którzy zawodowo trudnią się polowaniem na rozmaite gatunki świetnie upierzonych ptaków Palmalu. Doszli do takiej wprawy, że prawie zawsze potrafią ptaka zabić w ten sposób, by o ile możności nie uszkodzić owych barwnych piór, któremi następnie w miastach handlują. Nieraz pamiętam, na ulicach Warszawy, na bogato strojnych kapeluszach, uderzały mnie niezwykle piękne pióra. Kiedy raz kogoś zapytałem, skąd w naszym kraju bierze się tak wspaniałe pióra, odpowiedziano mi, że tańsze pochodzą z miejscowego ptactwa, a tylko fabrykanci farbują je pysznie w miarę potrzeby. Zato droższe sprowadza się aż z krajów zamorskich.

Czyż mogłem wtenczas przypuścić, że w kilka lat później znajdę się sam w takim rajskim ogrodzie, po którym latają żywe kwiaty o wszystkich kolorach tęczy — i że sam spotykać będę ludzi, którzy te ptaszki przecudne mordują masami dla kaprysów mody. Rozumiem, że dla nauki trzeba dużo takich niewinnych istot skrzydlatych uśmiercać, by niemi później napełniać muzea przyrodnicze. Wszak tylko tam mogą je poznawać ci, którzy nigdy w życiu nie odbędą podróży do zamorskiej ojczyzny kolibra, czy muchołówki królewskiej. Ale gdyby nawet najwięcej przyrodników podróżowało w takich celach po lasach podzwrotnikowych, to jednak, jak dobrze powiada pan Stefan, nie wytępiliby jeszcze w tysiącznej części takiego mnóstwa ptaków, jakie giną z rąk strzelców dla zaspokojenia olbrzymich potrzeb handlu ozdobami kapeluszy kobiecych. *C. d. n.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Łamigłówka aktualna

Bez pierwszej litery — wiosną kwitną drzewa —
Czarownie pachnące to białe kwiecie.
Gdy dodasz tę głoskę, znajdziesz się w lecie...
To, o czem rok długi dusza tobie śpiewa —
Z dniem każdym jak sen się rozwiewa...
I znowu rok cały,
Miłe budząc wspomnienia,
Będą się za tem rwały
Z serc młodych westchnienia.